

Piracie, chytry traci dwa razy

14 kwietnia 2009

Richard Philips, kapitan „Maersk Alabama” został uwolniony. W natłoku medialnej radości i komentarzy wszyscy zapomnieli zająć się istotą problemu. Piraci przetrzymują nadal 12 statków i około 200 zakładników, a ich ostatnie porażki wynikają bardziej z chciwości, aniżeli zastosowania nowej taktyki przez potęgi tego świata.

Słałom pomiędzy okrętami wojennymi najpotężniejszych państw świata powinien się tak właśnie kończyć. Dopóki piraci atakowali blisko swojej bazy, ich szanse na udane porwanie były dużo większe. Im dalej od ich bazy, tym trudniejsze jest przeprowadzenie takiej operacji. Piraci jednak rozuchwalili się na tyle, że uznali, iż odległość nie stanowi dla nich dużo większego problemu. Okazało się, że jednak długość trasy ma olbrzymie znaczenie, a Francuzi i Amerykanie mają dość ośmieszania ich przez piratów. Stąd ostatnie operacje uwolnienia zakładników. Somalijszczycy stracili dużo ze swojego instynktownego sprytu, ponieważ do tej pory robili wszystko, by nie wdawać się w starcia morskie z flotą wojenną, gdyż większe szanse miałyby u bukmacherów biblijny Dawid w starciu z Goliatem niż morscy bandyci.

Podobnie było w przypadku „Maersk Alabama”. Czterech piratów i kapitan Philips w szalupie ratunkowej. Z drugiej strony wyposażony w najnowocześniejsze technologie okręt amerykańskiej marynarki wojennej USS Bainbridge ze służbami specjalnymi na pokładzie. Pomimo tej dysproporcji, piraci targowali się ostro żądając okupu i bezpiecznego powrotu – aż dziwne, że nie zażądali kabłówki z CNN, aby siebie pooglądać w telewizji... W czasie całej akcji jeden z piratów znajdował się na pokładzie amerykańskiego statku. Teraz dochdę do sedna mojego tekstu. Piraci, oczywiście, zginęli zasłużenie. Taka

kara powinna spotykać każdego, kto porywa i grozi innym ludziom. Wszystko wskazuje jednak na to, że było to zabójstwo z zimną krwią. Pirackiego negocjatora od razu zatrzymano, a jego tzech kumpli już nikogo raczej nie porwie. Amerykańscy snajperzy wykorzystali idealny moment do ataku i wykonali rozkaz. Trudno przypuszczać, by życie kapitana było w rzeczywistym niebezpieczeństwie, gdyż praci wiedzieli, że ich życie jest uzależnione od życia Philipsa. Dlatego nic mu nie zrobili po nieudanej ucieczce. Tym bardziej mało prawdopodobne wydaje się, by chcieli oni zabić zakładnika i to jeszcze w czasie, gdy ich kompan rozmawia u wroga (w tym przypadku – Amerykanów). To był zatem pretekst. Jeśli prawdziwa jest wersja CNN, że Philips wyskoczył i Somalijscy podnieśli karabiny, a potem zostali zabici, to warto się zastanowić nad jedną rzeczą. Co mieli ci piraci zrobić – pozytywnymi lydowymi pieśniami zachęcić go do powrotu? W każdym razie zostali zastrzeleni i na to niewątpliwie zasłużyli. Czy jednak przy następnej takiej sytuacji piraci będą chcieli negocjować, gdy w czasie rozmów zabija się ich ludzi, a innego zatrzymuje? Czy ten jeden pirat nie dostał żadnych gwarancji bezpieczeństwa przed wejściem na pokład? Amerykanie wykiwali prymitywnych piratów, ale czy tak łatwo pójdzie następnym razem?

Do tej pory wszystko było proste. Piraci odróżniali interesy od życia prywatnego Biznes to biznes, byle dolary od armatorów się zgadzały. Dziś sugerują, że śmierć swoich kompanów potraktują osobiście, gdyż to nie oni rozpoczęli zabijanie. Szkoda, że nie nazwali siebie morskimi biznesmanami, ale faktycznie – do ostatniej francuskiej operacji z rąk piratów nie zginął żaden zakładnik. Nie wygrają z potęgą Francji (zabawnie to brzmi) i Stanów Zjednoczonych. Mogą im za to dużo krwi napsuć. Przecież pirackie ataki nagle nie ustaną, gorzej, jeśli przeistoczą się z porywaczy-biznesmanów w ideologicznych terrorystów. Na całe szczęście nadal najważniejszy jest dochód. Za „Faine” z czołgami T-72 piraci dostali 8 milionów dolarów. Jest czym się dzielić. Za „Bow Asir” 2,4 miliona dolarów. Łupy więc nie są małe.

Pojawiły się doniesienia o helikopterach latających nad bazą Hardheere. Amerykanie niewpłiwie dysponują środkami militarnymi niezbędnymi do skutecznej operacji. Umożliwia to przepaść w technologii i wyszkoleniu pomiędzy armią Stanów Zjednoczonych, a piratami. Zostaliby oni zabici lub schwytani, a ich łodzie poniszczone. Wszystko byłoby takie proste, gdyby nie fakt, że piraci dysponują porwanymi jednostkami i znajdującymi się na łodzi zakładnikami. Zatopienie tych pierwszych i śmierć tych drugich, co jest możliwe w wypadku potężnej operacji militarnej, byłaby propagandową klęską na nieprawdopodobną skalę. Poza tym – jak odróżnić pirata od cywila? Armatorzy woleliby pewnie zapłacić okup i odzyskać statek wraz z załogą. Ubezpieczyciele (o ile takowi istnieją) raczej również. Poza tym nawet zniszczenie Hardheere nie będzie oznaczać końca piractwa w Zatoce Adeńskiej. Morscy porywacze dysponują poparciem na łodzi, to coś w rodzaju zawodu, który – jak się okazuje – nie wymaga aż takiej precyzyjnej wiedzy i najnowszych technologii. Do rajdów za statkami zawsze znajdą się chętni. Ryzyko duże, ale dochód bardzo wysoki, a jakie są inne alternatywy w Somalii?

Piratów gubi ich własna chciwość. Wypływają coraz dalej, próbują zająć coraz większą liczbę statków, a jeszcze żeby tego było mało – pod nosem flot wojennych. Tolerancja dla ich działań dobiegła końca, tylko nie ma jeszcze planu poradzenia sobie z morskimi bandytami. Oby somalijscy piraci nie wyciąnęli wniosków z ostatnich porażek. Operacja w Hardheere byłaby możliwa, tylko czy Barackowi Obamie nie zabraknie odwagi? Potencjalny wypadek byłby ryzykowny, ale szansa pełnego sukcesu najpotężniejszej armii świata – przy tak ograniczonych celach – byłaby duża pod warunkiem idealnego rozpracowania wywiadowczego. Na razie przelot helikopterów to chyba ostrzeżenie.

Autor: Patryk Gorgol

Źródło: [Kącik Dyplomatyczny](#)